

Nazywam się Maria Bojar córka Jana i Albiny z d. Dziagiel urodzona 20.08.1929r. w kolonii Jałówka, gmina Prozoroki, powiat Dżisna, województwo wileńskie. Rodzina moja liczyła w dniu sęki 8 osób-rodzice, 4 siostry, najstarsza Helena, Janina, Jadwiga, Waleria, urodzona w Dziabrynie Genowefa oraz brat Jan. Mieszkaliśmy wśród Białorusinów, Litwinów, Łotyszów, Ukraińców /przeważnie wrogo nastawionych do Polaków.

Spełniając prośbę rodziców postanowiłam opisać "Dzieje ^{mojej} rodziny na zesłaniu w ZSRR w latach 1940-1946". Porządkowanie wspomnień zaczęłam w przy końcu lat 60-tych, kiedy w pamięci pozostawały w miarę żywe fakty, byli jeszcze rodzice, chociaż byli już b. chorzy. Ojciec na samo słowo-sybiy, kazachstan, dostawał rozstroju nerwowego. Mamusia przekazywała na bieżąco, wprawdzie z wielkim trudem, unikając bolesnych spraw/śmierć, uwięzienie/. Winnam wyjaśnić dlaczego mnie powierzyli rodzice swoje tajemnice, spisanie dziejów rodzinnych. Byłam najstarsza, zdołałam najwięcej zapamiętać, mieszkaliśmy stale z nimi w przeciwieństwie do siostr. Młodsze cały czas przebywały w PDDz, Janinę mamusia oddała zaraz po przyjeździe do kraju z uwagi na pobyt w szpitalu. Uczyła się i pracowała poza miejscem zamieszkania. W opisie mogą wystąpić nieścisłości w nazewnictwie, określenia ⁱⁿ czasowych.

Oficjalne wywózki były poprzedzone plotkami. Ojciec podjął decyzję o przesiedleniu się do Białegostoku, matka nie uwierzyła w wiarygodność ich, żał jej było gospodarstwa. Była bardzo mroźna noc 10.02.1940 roku, do drzwi ktoś mocno kołatał, krzychał otwierać!!! Drzwi otworzył tata, weszło kilku mundurowych, rozkazali ojcu, a następnie mamusi stanąć pod ścianą z rękoma do góry. Na straży stał młodzian z pepesz? Enkawudziści do dzieci krzyknęli "sobirajtis"! Krzyk dzieci, płacz, szloch matki, ogólny rozgardiasz, krzątania najstarszej siostry Heleny i brata przy ubieraniu młodszego rodzeństwa. Mama próbowała podpowiadać, co należy zabrać w co ubrać. Bystrej, bystrej. I. Mama musiała wyjść za swoją potrzebą /rozstrój/ w asyście mundurowych. Wychodzić, przesiedlany was! Rodzice w milczeniu żegnają się z dorobkiem całego życia, kreśląc kilka razy znak krzyża. Przerażeni, wśród płaczu dzieci, wsiadaliśmy do przygotowanych san, ruszamy do Prozorok. W drodze dołączyli do nas sąsiedzi-osadnicy na saniach: wdowa Jurkowska z 11-giem dziećmi, uboga rodzina, głodująca na przednówku, zamożny Pęk,

Mas, Dziakiewicz, Rokicki. Każdy niemym wzrokiem pytał - dokąd? Wieść o wywózce "kułaków" rozeszła się po okolicy lotem błyskawicy. Siostra matki, mieszkająca od nas 3,5 km. przyszła na drogę, chciała nam podać jedzenie, ubrania na drogę, nie pozwolono jej, gdy natarczywie domagała się, odepchnięto ją. Jadzia wyciągała ręce do cioci, prosząc o zabranie jej, bo jest zimno, odpowiedź była - nie izia!! Na stacji czekał przygotowany skład pociągu towarowego, wyładowano wszystkich z sanii pod ścisłym nadzorem wpakowano do zimnych wagonów. Po bokach wagonu prycze u góry i u dołu, na środku wiadro - do wiadomych celów i piec lucyfer. Rozlokowano rodziny na pryczach, nam przypadła - górna, ku ogólnemu zadowoleniu, można było spojrzeć na świat. Rozdzielono nas z sąsiadami, znajomymi, Drzwi wagonu zamknięto na rygiel. Dzieci nie rozumiejąc co się stało płakały ze zniechęcenia, dorośli milczeli. Pociąg ruszył żegnany z daleka przez przybyłych członków rodzin. Siostra mamy również żegnała nas - znakiem krzyża - na zawsze. Mieszkaliśmy 3 km od granicy. Gdy poraz pierwszy pociąg zatrzymał się na boczniczy, otworzyły drzwi, konwojent krzyknął - opróżnić wiadra, załatwić się, oczywiście w ich obecności. W wagonach pozostały tylko dzieci, dorośli badali teren, pytali o miejscowość, bez odpowiedzi. Tak przebiegła podróż aż do Kotłasu. W Kotłasiu skoszarowano wszystkich zesłańców w murowanym domu, ^(chyba cerkiew) każda rodzina siedziała na swoich tobołach, trwało to chyba 3 dni. Młodzi próbowali uciekać, z wagonów, na na postojach - bezskutecznie, nadzór był liczny "twardy". W końcu ponownie załadowali nas na sanie, przyczepy traktorowe wyruszyliśmy przez zamarzną rzekę Dwinę do docelowej miejscowości Dziabryno /posiołek/ powiat Krasnoborski, wojew. archangielskie. Mróz, zimno, zawieje, strasznie. Przerazenie ogarnęło ^{wszystkich} na widok bezkresnego bezludzia: lasy, lasy, lasy!!! Rodzice zrozumieli "przesiedlenie".

Na miejscu zastaliśmy baraki, zbudowane były ze świeżych desek, wewnątrz piętrowe prycze, każdej rodzinie przydzielono odpowiednią ilość miejsc na nich. Baraki były ustawione szeregowo. Do wyposażenia należało wspólne wiadro na wodę, piecyk. Główny "nadzorca" był mężczyzną dobrze zbudowanym, "twardym". Po rozlokowaniu zesłańców, zarządził zbiórke, zapoznał z regułami, na końcu zapowiedział "Bolszy bolsze nie uwidzicie", radzę podporządkowanie się. Wkrótce ojciec, siostra i brat zostali przydzieleni wraz z innymi

mi skazańcami do wyrębu oraz spławiania drzewa w głębi tajgi. My pozostaliśmy z mamą na miejscu z utęsknieniem czekaliśmy na lato, żeby się ogrzać. Przykryć się nie było czym, spało się w ubraniach, przytulając się do siebie. Woda w wiadrze zamarżnięta, ludzie zziębnięci. Poza tym opał trzeba było oszczędzać. Przez szpary między deskami baraków jako dzieci podawałyśmy ręce mówiąc - cześć! Jeść nie było co, kradłyśmy co się dało - suchary itd.. Kilka razy udało się mnie z Janką pogrzebaczem z garnka ^{wyciągnąć} obsługi ^{nie} niedogotowane mięso. Kiedy się zorientowali, drzwi były zamknięte na klucz, a walęsające się dzieci odpędzono brutalnie. Wprawdzie pracujący otrzymywali 30-50dkg, dzieci i reszta 10 dkg chleba na dzień. Chleb ten jednak zdobywało się z wielkim trudem, albowiem dostawy były małe, nieregularne. Moim zadaniem było wystać chleb przyznany na kartki. Staliśmy całymi godzinami ^{ja} na zmianę z mamą o różnych porach dnia i nocy na mrozie, deszczu, w oczekiwaniu na dostawę. Kiedy przywieźli i otworzyły się drzwi sklepu, z mojego 1,2 5 miejsca kolejkowego przesunęłam się na koniec. Oczywiście wymarzonego chleba, najczęściej nie otrzymywałam, bo rządziło prawo silniejszego. Ileż to razy wracałam zmarżnięta z płaczem do mamy, że mnie wypchnli z kolejki, podeptali. Janka miała za zadanie przynosić w wiadrze "kapiatok", czyli wodę gotowaną w specjalnym budynku. Miałam z Janką do spółki ¹ buty. Tata, z siostrą i bratem przyjeżdżali do nas rzadko, najczęściej wtedy gdy byli niezdolni do pracy z powodu choroby, odmrożenia, co było na porządku dziennym. Janek dostał żółtaczki zakaźnej, mama leczyła domowym sposobem. Pewnego razu tatuś wrócił znacznie wcześniej niż przewidywała mama. Radość szybko przemieniła się w zmartwienie. Wyręczył mnie w zakupie chleba - bez powodzenia. W gniewie, rozpacz, żalu publicznie powiedział, czego później całe życie żałował, żeby rządzącego /Stalina" za jadra na drzewie powieszono, za to, że taki łós ludzi zgotował. Tatuś znikł, mama nam tłumaczyła, że jest na wyrębie. Przed śmiercią wyznała, że był zatrzymany, uprzedziła, żeby zachować to w tajemnicy, bo mogę być represjonowana jak oni. Zmarła przedwcześnie w 1960 roku. Gdy tatuś powrócił jego zachowanie wzbudzało litość i lęk mamy i nas. Przy zbliżeniu mamusi, którą kochał nad życie, uciekał w kąt, przyklepiał się do ściany, zwijał się w kłębek, przybierał odruch obronny jak atakowane

bezbronne zwierzę, nie wydając z siebie słowa. Dzięki ogromnym wysiłkom mamy i znajomych udało się przywrócić tatę do życia, równowagi jednak psychicznej nie odzyskał do śmierci tj. do 1963 roku. Powrócił do pracy zamknięty w sobie, milczący, zacięty. Poza przydziałem chleba, mieliśmy przydział zupy, najczęściej rybnej, której nie nawidziłam, bo była śmierdząca, przynosiłam ją ze stołówki.

Korespondencja z Polski ^{do Polski} docierała rzadko, podlegała ścisłej cenzurze. Rodzina matki doniosła nam o zrównaniu z ziemią naszego gospodarstwa. Dokonano tego tuż po wywiezieniu nas. Nowowypbudowany dom 1939 r. rozebrano, i przewieziono, postawiono w Szeragach. Nawet wyrugowano drzewa owocowe. Korespondencja nie mogła być jawna, pełno było w niej niewinnych szyfrów, wiadomych tylko dla odbiorcy.

Trudne warunki bytowania, klimatyczne, mrozy, zasy py śniegu równające się z barakami, załamanie duchowe, wycieńczenie, niedożywienie, choroby, brak lekarstw w niedługim czasie zaczęły zbierać żniwo. Udziałem prawie wszystkich mieszkańców stała się malaria, szkorbut, kurza ślepotą. Do zwalczania malarii otrzymywaliśmy chininę. Najbardziej była przykra kurza ślepotą - z nastaniem zmierzchu nic się nie widziało. Gdy dotknęła ta choroba Jankę i Walę musiałam ich pilnować, wyprowadzać za barak do "toalety" złościło mnie ich udawanie. Zrozumiałam wszystko, kiedy mnie dotknęło to nieszczęście. Z biegiem czasu wszystko spowszedniało stało się normalnością. Początkowo każdy zgon był należycie uhonorowany, żegnały ^{zesse} zeskazanców. Tak pożegnaliśmy naszego najbliższego sąsiada-osadnika, Dziakiewicza. Z upływem czasu zgonów było dużo, nie zawsze można było pogrzebać zmarłych należycie ze względu na brak siły ludzkiej ^{panujące} warunki. Umiera także Jurkowska, zostawiając 11-ro dzieci. Dzieci młodsze trafiły do rosyjskiego Domu Dziecka, starsze do "szkół" - prawdopodobnie. W niedługim czasie na "spędzić" w szkole wszystkich zesłańców, dowiedziałem się o losie młodszego rodzeństwa. Enkawudzista przedstawił je jako dzieci b. szczęśliwe, że są obywatelami rosyjskimi. Na dowód swoich słów porosił Irenę i jej braci o potwierdzenie tego faktu. Dzieci wydeklowały wyuczoną formułę w języku rosyjskim. Przy końcu swojej wypowiedzi nawoływały do pójdęcia w ich śladę

U wielu osób widziałam łyzy w odczach. Ja zazdrościłam tym dzieciom uboru, "walonek". Przy pomocy różnych metod podejmowano próby pozbawienia obywatelstwa polskiego: namową, obietnicami, szykanami, demonstracją osób które się na ten krok zdobyły z wyboru lub z konieczności. Wybór był niezmiernie trudny, w grę wchodziło - być albo nie być. Edukacja dzieci odbywała się w języku rosyjskim w sposób przymusowy. Najbardziej utkwiała mi w pamięci Maniefa Pietrowna - uosobienie cech młodego pokolenia stalinistów. Płataliśmy jej różne figle, porozumiewając się wbrew jej woli po polsku. Karano nas koźą, biciem, groźbami, szykanowaniem rodziców. Były i wesołe chwile, Janka w nagrodę za dobre wyniki w nauce otrzymała "walonki". Na obszczach lasu mieszkali skazańcy z wcześniejszych lat sżyki, między innymi Polacy, Rosjanie. Starsi ludzie spieszyli nam z pomocą w każdej sytuacji, oczywiście po kryjomu. Wraz z nadejściem wiosny, lato wracała w serce nadzieja, chociaż nadzorcy starali się zawsze przypominać, że "prędzej im kaktus na dłoni urośnie, niż my zobaczymy Polskę". Wspaniałych przeżyć dostarczały majowe i czerwcowe nabożeństwa. Mimo zakazu modlono się na głos, przy głośnych nawoływaniach obsługi do zaprzestania. Kiedy Polacy śpiewali nabożne pieśni, wtórował im głośniejszy śpiew "katuszy" itd..

W 1941r. rozeszła się wieść o możliwości wyjazdu do Anglii. Spora ilość współtowarzyszy opuściła Dziabryno w nadziei dotarcia tam, między innymi wdowa z dziećmi po Dziakiewicz. Moi rodzice uczynili to także, ale znacznie później. Załadowaliśmy się na tratwy, przeciążenie było za duże, każdy pragnął jak najszybciej opuścić miejsce kaźni. Tratwy zaczęły się zatapiać, mama zrezygnowała. Odjechaliśmy kolejnymi - większymi, znaleźliśmy się w małym miasteczku, okazało się ponownie Krasnoborsku. Mieliśmy okazję być świadkami niszczenia cerkwi. Dwa traktory spięte linami, liny stalowe opsywały także wieś. Traktory rozpędzając się, po kawałku rozrywały cerkiew. Ku przerażeniu zebranych, starsi złorzecząc próbowali przeszkodzić - daremnie. Zamiast Anglii, znaleźliśmy się ponownie w towarowych wagonach z zakratowanymi oknami, wysłano nas w ponad półroczną podróż przez Swierdłowsk, Czelabińsk do Uzbekistanu, a następnie Kazachstanu. Była to mordereza poróż pod każdym względem. Głód, choroby, nieludzkie wycieńczenie, insekty, zmiany klimatyczne, zniewolenie dziesiątkowały ludzi, szczególnie dzieci.

Na każdej ostanowce /postoju/rodzice pozostawiali dzieci, dzieci rodziców,rodzeństwo.Na jednej z nich tatuś z mamusią wynieśli siostrę Genowę. W wagonie panowała odra,tyfus,oczywiście malaria.Nie zapomnę malującej się rozpaczy ,na twarzy,krzyku,matki Żydówki,która w przeciągu m-ca utraciła w ten sposób dwie jedyne córki.Mąża Jej w tym czasie nie było bo na jednej ze stacji poszedł dokonać zamiany ^{obrygęski} na chleb,lub mąkę,cokolwiek do jedzenia.Zawiadowcy,konwojeńci zapewniali,że transport będzie stał 1,2,3 ^{godziny} lub dłużej,ludzie wyruszali na poszukiwanie żywności.Tymczasem po 10,30 minutach,w najlepszym wypadku po godzinie pociąg gwizdem oznajmiał odjazd lub odjeżdżał pozostawiając za sobą biegnących ,zdesperowanych ludzi,ku radości obsługi pociągu.Nasz tato podzielił los innych.Mamusia zawsze wkładała mu kartkę do kieszeni z nr transportu itd i to go uratowało.Dołączył do nas u kresu podróży,schorowany,nieludzko wynędzniały,z objawami zupełnego załamania.Z naszego wagonu pozostało na trasie przejazdu pociągu tj.zmarł ¹⁰ siedmioro dzieci i jedna osoba dorosła, Stankiewicz.Odmawiał przyjmowania pokarmu,leżąc na barku cuchnący,apatyczny-sam siebie skazał na śmierć,może i dobrze mówili dorośli nie będąc się meczyć.Pozostawił w Polsce żonę i 2 dzieci bo była w czasie wywózki u swoich rodziców.Głównym pożywieniem był chleb jak glina,sławetne makuchy,wytłoczyny z ziaren oleistych,głównie bawełny,woda.Wreszcie dotarliśmy do Uzbekistanu-wyładowano nas w stepie-pociąg odjechał dla nas dachem nad głową pozostało w nocy cudne niebo w dzień nielitościwy żar słońca.Dorośli mawiali ,dobrze że jest woda-dzięki ci Boże.Dzieci jak dzieci,cieszyły się chlapiąc się w błocie,czsta racjonowano.Z resztek szmat robiło się parasole ,żeby się osłonić przed nadmiarem słońca,ale i tak były wypadki porażen,temperatura dochodziła /w południe do 50-52 stopni C. Janina wałęsała się po obozowisku z Jankiem.Od niego dowiedzieliśmy się o planach ucieczki niektórych młodych ludzi .Tato siedział ponury,milczący,obok niego mama.Znowu pojawiły się lepochy-placki z trawy,znienawidzone makuchy.Najbliższa miejscowość jeśli się nie mylę nazywała się Mejbo-^{poszukiwiskim obozowisku wojskowym (polskich) - Guras,}lak,W momencie najmnej oczekiwany dla wszystkich,ponownie nas załadowano do pociągu towarowego,okazało się,że skierowano do Kazachstanu-prze Turkent.

Czimkient, Czircziiryk był miejscem rozdzielnym poszczególnych rodzin do kołchozów rozsianych w pustynnej części. My, Lisowscy, Trykubowicze, Kapuszy Zbrzyccy i inni przeznaczeni do innych kołchozów wyruszyliśmy karawaną wie-
Ibładzią po bezdrożach górzystej pustyni do kołchzu Kukubiel, powiat /praw.
dopodobnie 1-Maj/, województwo południowo kazachstańskie. Obok do kołchozu-
Kizyktu trafili nasi współtowarzysze podróży. Jechaliśmy 2 dni, odpoczywając
krótco w nocy, wreszcie dotarliśmy do miejsca docelowego dwuletniego pobytu.
Dzieci ubawione były widokiem, sposobem poruszania się zwierząt, innością
ubioru konwojentów ich niezrozumiałym językiem. Dorośli bacznie obserwowali
teren.

Kołchoz był usytuowany wysoko w górach, nad strumieniem. Wiecznie śnież-
ne góry zdawały się być w zasięgu ręki, ale to było złudzenie. Zabudowania
przeważnie były usytuowane szeregowo nad strumieniem. Pojedyncze domki
były rozsiane na stokach gór nad jarem. Góry przeważnie były nagie, część
pokryta była karłowatymi drzewami, w rodzaju głogu. Z jednej strony wioski
był wodospad, pozostałe boki okalały góry. Parterowe domy z tarasami-podcie-
niami/rodzaj budownictwa tureckiego/były ulepione z gliny z mieszanej z
młoda trawą, przeważnie bez okien lub z błon z pęcherzy bydlęcych, dachy
z trzciny, przycisnięte gliną. Na środku domu palenisko bez komina, podłoga
zrobiona z "zaprawy" gliniasto-lajnowej/krów/. Życie koncentrowało się
na dworze na specjalnym glinianym podwyższeniu-pryczy, gdzie się jadło,
spalo itd. W kołchozie nie było żadnej innej narodowości "kozakami". Polskie
rodziny skomasowano na obrzeżu, po 23- w jednej ^{prócz} hacie. Tragedia rozpoczę-
ła się na zajutrz, gdy stwierdziliśmy, że domostwa tubylczej ludności są
zamknięte. Nieufnie obserwowali nas, my w obawie przed napaścią barykadowa-
liśmy się. Wszyscy zadawaliśmy pytanie, jak przetrwać, co począć? Stopniowo
"wrastaliśmy w kulturę, obyczajowość" miejscowej ludności. Dużym utrudnieniem
był brak znajomości języka, rosyjskiego nikt nie znał. Kobieta traktowana
była jak niewolnica-cały ciężar pracy zawodowej, prowadzenia gospodarstwa
domowego, wychowywanie dzieci spoczywał na ich barkach. Mężczyźni stanowili
elitę reprezentacyjną. ^{podjęta.} Warunki bytowania, higieniczne itd. można śmiało ułoko-
wać w odległej epoce. Słot rozpoczęliśmy, żeby przetrwać, od pieszych wędró-
wek

po terenie w nadziei znalezienia czegoś do zjedzenia. Prócz traw, bółw, suchych owoców niczego więcej nie zdobyli. Kolejnymi etapami podróży były inne miejscowości, niestety były zbyt odległe, jak się potem okazało od 40-120^{km} od siebie, bez dróg. Nieznajomość języka, terenu dopełniała reszty. W końcu rodzice zdecydowali się, pod ich osłoną, na zebranie najmłodszych siostr. Udało im się czasami zdobyć zapleśniałej kawałek lepioszki-rodzaj placka pszennego, lub zatęchłej pszenicy, prosa, obierzyn z owoców. Miejscowa ludność czyniła to niechętnie, złoścąc^{się}, odpędzając. Trudna sytuacja poddyktowała rodzicom kolejne próby udania się do najbliższych miejscowości w celu znalezienia pracy. Okresowo udawało się im cokolwiek zdobyć, my zaś umieraliśmy ze strachu, ^{po 2,3 dni ich nie było} nagrodą były właśnie przyniesione "rarytasy", po spożyciu, których następowało leczenie, z racji zatrucia. W końcu dobrowolnie zaczęliśmy pomagać ludności w pracach rolnych. Ja, Janka i starsze rodzeństwo byliśmy wynajmowani do pilnowania poletek przyzagrodowych/prosa, pszenicy/ przed inwazją ptactwa. Siedziało się w zbożu, od wczesnych godzin rannych do wieczora, wydając różne nieartykułowane dźwięki, biegając przytym w kołko i wymachując rękoma-pełniliśmy rolę żywych strachów na wróble. Za dobre wyniki-nagroda-w postaci resztek jada: skóry arbuzów, melonów, nadpsute owoce, kości baranie, skiśnięta "suźma"-rodzaj twarogu itd.. Nie wolno było jeść prosa ani pszenicy!! Za złą pracę, pozbawiano zatrudnienia, ośmieszano ^{się}. Najczęściej i podstawowym naszym wyżywieniem była lebioda, bulwy, trujące grzyby obgotowywane kilka razy. Na założenie ogrodów przydomowych nie dostaliśmy zezwolenia. Kolejnym zajęciem wszystkich, dzieci także, ^{było} chodzenie w step 4-6-8 km po tzw. topkę-bujną, wyschniętą trawę. Nie znosiłam tego zajęcia, bo panicznie bałam się węży/zaskrońce/, żmij, małych skorpionów, zabłądzenia. Należy się wyjaśnienie skąd się bierze topka? Otóż bezkresne stepy na wiosnę pokrywa bujna roślinność-bajecznie to wygląda w III, IV kiedy jest pełnia kwitnienia, znakomita woń odurza. Wypasają się stada owiec, pasterze pędzą koczowniczy tryb życia w jurtach. W m-cu V, VI, trawy wysychają, są grube, dorodne. Łanie, zbiera się gołymi rękoma/kłujące/najdorodniejsze, układa na specjalnych sznurach-szelkach taką ilość żeby można było unieść. Wiązkę trawca jeden drugiemu na ramiona, z przodu spina się je ottonię (palcami) podnyła nisko do ziemi i karawana topok podryza do kolechozu.

Zapłata - w postaci ochłapów! Buntowałam się, byłam b. wzięta - mama uległa. Nieodłączną jej towarzyszką stała się Janina, silniejsza, lepiej zbudowana. Wychodziło się o 3 rano żeby przed skwarem słońca dotrzeć na miejsce, przeczekać porę obiadową, po południu nazbierać, wieczorem powrócić do domu. Raz mamie udało się przynieść zaskronca, ^{skoppicna,} miejscowe kobiety czyniły to samo. Zaskronce, żółwie stanowiły dla nich nie lada przysmak. Wrzucano żywcem na gotującą wodę dla oddzielenia skorup, skór, czy ściło, przyrządzało i ucza gotowa. W niedługim czasie zapotrzebowanie na opał zmalało, powstały zapasy. Sytuacja ekonomiczna w kraju pogarszała się, zagnano nas do pracy - wszystkimi przy zbiorze olbrzymich połaci pszenicy po kombajnach. Dorosli po zgrabiarce wiązali w snopki pszenicę, dzieci zbierały kłoski w garstki, z garstki powstawały snopki. Perspektywa rysowała się nęcąca, nareszcie będzie można najść się utartego ziarna do syta. Rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania. Pracę Polaków nadzorowała kobieta i 2 mężczyźni z pejcami ^{zeskory} w ręku, na koniach. Opiszę pewien incydent, który miał miejsce na polu. Przy zęściu z pola dokonano obmacania Polaków, przeprowadzała to kobieta, Pan Zubrzycki - miał 3 dzieci i chorą żonę - zapytany czy ma pszenicę, milczał ze zwieszoną głową. Kobieta odjechała po chwili powróciła z 2 mężczyznami, zsiadli z koni. Powtórzyli pytanie, wrzeszcząc, złorzecząc. Ku wielkiemu zdumieniu dzieci, zaskoczeniu dorosłych, zamiast ukrytego woreczka z pszenicą 30-50 dkg w jednej z magawek szerokich spodni, wyjął - penis - krzycząc, mam bidaj !! Doskoczyli do niego mężczyźni i w obecności dzieci obnażyli, skatowali pejcami skórzanymi, zabrali woreczek, pozostawiając "przestępcę" na polu. Brutalnie odtrącono Trykubowicza, który chciał pospieszyć z pomocą. Po uszkodzonym Polacy zabrali do lepianki, przez kilka dni był niezdolny do pracy. Pozbawiono go racji, około 30-50 dkg, plew - jako wynagrodzenie za pracę, a także jego rodzinę. Zajęcie to najboleśniej odczuły dzieci, albowiem dotychczas można było ukradkiem schlić się do ziemi i zjeść czasami garstkę pszenicy, czasem w pośpiechu z plewami. Nadzorująca gdy przyłapała, groziła pejcem, rzadko biła, czasami dla potraszenia. Miejscowe kobiety pracowały osobno, nie podlegały kontroli. W czasie przerwy obiadowej kryły się pod drzewami, otrzymywały posiłek regeneracyjny, karmiły dzieci piersią, które w czasie pracy przywiązane chustą spały ^{na plecach,} itd.. My w tym czasie raczyliśmy się

woda, plackami z plew i trawy, w najlepszym wypadku odpadami. W 1942 r. spadło trochę sniegu, na ich warunkim była to sroga zima. Stacjonujące w górach stada owiecznie miały co jeść, spędzono je dla ratowania na wielotonowe przyzmy porośniętej pszenicy. Bydło deptało, zanieczyszczało, a ludziom nie wolno było ruszać. Parę razy w nocy mężczyźni przynosili ją, płukało się i zjadało. Po jakimś czasie owce marynosy zaczęły masowo padać, padłe pozostawiano w górach, zdrowe przemieszczano w inne miejsca. Padniętymi baranami rączyliśmy się my i wałęsające się psy. Nie mogłam tego jeść gdy ujrzałam w głowie duże robaki. Tatuś, Janka nie zważali na to, prosili tylko mamę żeby odrzucała głowy. Najgorzej znosiła wszystko najmłodsza siostra Waleria, wątła, wychudła przeraźliwie, "wybredna w jedzeniu". Sytuacja żywieniowa stawała się trudna, rodzice postanowili powrócić do żebraniny, inni ludzie czynili to samo, zabierali ze sobą Jadwigę i Walerię. Datki były coraz skromniejsze, proceder niebezpieczny, szczuto psami, przepędzano, sękaty kij nie wystarczał do obrony. Długo trwało leczenie ran szarpanych mamy. Małżeństwo - Kapustowie - wybrali się także do Ieninska, nie dotarli tam, śnieg przypruszył trawy, na skutek poślizgu wpadli w przepaść, ponieśli śmierć na miejscu, odnaleźli ich pasterze. Pozostały dwie nieletnie córki, zaopiekowali się nimi Polacy. Rodzice zostali pochowani nad jarem w Kukubielu.

Korespondencja docierała tu bardzo rzadko, rolę pocztylionów spełniali przemieszczający się Polacy, żebracy. Gdy dotarła do Kukubielu wieść o formowaniu się wojska - Andersa, tatuś zdecydował, że brat wraz z Lisowskim, Marcysiem Trykubowiczem, jako ochotnik, miał niespełna 17 lat, ma wspiąć do wojska. Mamusia oponowała, żal jej było rozstawać się z jedynym synem, był wycieńczony, załamany psychicznie. Decyzja brata i ojca przeważała - Polska potrzebuje, a tu czeka go niechybna śmierć głodowa. Odeszli pieszo. W czerwcu 1942r. dotarła do nas od niego informacja, napisana na skrawkach gazety, przyniesiona przez Polaka z miejscowości 1-Maja. Donosił nam, że jest chory, żołnierzy dziesiątkuje tyfus, wycieńczenie, niesamowite upały, głód. Wiadomość pochodziła z miejscowości Ketimech w Uzbekistanie. Była to ostatnia wiadomość od niego, więcej go nie widzieliśmy. Na początku sierpnia 1942r. ^{przechodząca} Polka przez Kukubiel wypytała siostrę Jankę, bawiącą

nie przed lepianką/rodzice pracowali na polu/,czy nie mieszkał tu Jan Bojar, potwierdziła to. Nieznajoma poprosiła, żeby przekazała manie wiadomość o śmierci syna. Zaznaczyła, że informację taką odebrała od swego syna, który dokładnie zrelacjonował przebieg pogrzebu. Mama nie uwierzyła w wypowiedź ^{teści}, poczytała to za fantazję, poszukiwała go do momentu wyjazdu z terytorium ZSRR, jak również po powrocie do Polski-bezskutecznie. W końcu zwróciła się do angielskiego Czerwonego Krzyża, skąd w 1958r. otrzymała metrykę zgonu. Według orzeczenia lekarzy zmarł na skutek porażenia akcji serca 30.07.1942r w Ketimech. Miał zaledwie 18 lat.

Z miejscową ludnością zżyliśmy się, starsze kobiety nawet zapraszały do wspólnych posiłków ze swoimi dziećmi. Siadałyśmy po turecku na ziemi na macie, lub bezpośrednio na klepisku, na środku stała wydrążona, drewniana miska, w której znajdował się najczęściej rosół z baraniną, sużma /ser/. Wszyscy jedliśmy rękoma. Była ustalona hierarchia konsumowania posiłków, najpierw jedli mężczyźni, potem dzieci, na końcu kobiety. Janina jadła ręką, nie potrafiła oblizywać językiem ściekającego rosółu do łokcia, co budziło powszechny śmiech. Ja oczekiwałam na chochlę, najczęściej otrzymywałam ją, tracąc tym samym cenny rosół. Pewnego razu wynikła przezabawna sytuacja-Janina zjawiała się w białej płóciennej sukience /przeszywanej kilkakrotnie z mamy koszuli/obszczypały ją ze wszystkich stron kobiety, dziwiąc się i pytając, czy jest ona "marża" /mężatka/. Okazało się, że ich zwyczaj każe ubierać się na biało kobietom zamężnym, majtki na sznurku u pasa do kostek, sukienki kimono-worek za kolana, gorset czarny przyozdobiony koralami, piennymi, muszelkami, itd.. Janina nie chciała wychodzić z lepianki, wolała biegać w majtkach. Ogólna sytuacja ekonomiczna ^{tu} kraju pogarszała się, nie miał kto pracować. Ubożała ludność rodzima. Brakowało wszystkiego, najdotkliwiej dawał się we znaki głód, psy, koty, żaby, żółwie były zagrożone, ponad to dokuczały niesamowicie insekty-wszy, karaluchy, pchły. Na porządku dziennym były obrazki niszczenia insektów przez miejscowych, przy pomocy zębów. Dzieci szkolne w czasie przerwy miały za zadanie iskać się nawzajem. Dzieci polskie nie uczęszczały do żadnych szkół. Mężczyźni ubierając korbuch z baraną w zimie wyprawą do wewnątrz, w lecie włosiem do środka, czynili to samo.

Dziecko nowonarodzone-za nóżki wzięte, wykąpano w zimnej lodowatej wodzie w strumieniu. O higienie osobistej nie wspomnę, bo jej nie było. Tu z całą ostrością ujawniła się bezlitosna walka o byt, kto silniejszy wygrywa, kto słabszy musi zginąć. Śmiertelność wśród dzieci b. duża. Zorganizowane formy opieki nad dziećmi istniały ^{tylko} dla przedszkolaków w domach poszczególnych kołchoźnic. Małe dzieci-matki w czasie pracy przywiązywały chustą na plecach do siebie, tkwiły one tam na skwarze, wietrze całymi godzinami. Nie sposób pominąć faktu pomocy tubylców nawet w leczeniu-otóż pewnego razu wybrałyśmy się we 3-kę, ja, Janka i Waleria do pobliskich ⁴ hian domu przy, których rosły zdziczałe owoce moreli, brzoskwiń, ażeby pozbierać ⁵ śpady. W drodze powrotnej Waleria nadepnęła zmiję, która uraczyła ją jadem. Nim zdążyłyśmy ją przywlec do lepianki, noga była jak bania. Mamusia udała się o pomoc do "kozaczek", natychmiast przybyły, po obejrzeniu nogi przyniosły sużnę /ser/ szmaty, mama przewiązała nogę powyżej kolana, a one robiły nieustannie okłady z sużny, mleka, naparu z ziół. Uratowały siostrę od niechybnej śmierci.

Wobec braku jakiegokolwiek poprawy egzystencji rodzice zaczęli snuć plany ucieczki, a trzeba zaznaczyć, że nam nie wolno było przemieszczać się bez zezwolenia. Decyzję przyspieszył drobny incydent. Otrzymaliśmy cerez, nie było na co położyć. Mama posłała Jankę po drewnianą miskę do "kozaczki"-przyniosła, Polacy zebrali się ~~aby dokonać~~ rozdziału. Rzecz miała miejsce w naszej lepiance. W pewnym momencie "kozaczki" wiedzione ciekawością, zajrzały do domu, w chwili gdy cerez był krojony. Jedna z nich zapytała czy to świński tłuszcz /czuszka maj/?-Janka bez namysłu odpaliła-tak!! Myślała, że to będzie dobry żart. Stała się rzecz niesłychana-kobiety zaczęły siec cerez wraz z miską-wszystkim co miały w zasięgu ręki, rozmazując go po klepisku, wrzeszcząc dziko, bijąc mamę jako główną sprawczynię zbeszczeszczenia ich wiary-islam-u-zakazującego spożywania, przechowywania wieprzowiny. W sukurs namie pospieszyli Polacy, ukryli w jarze, tatuś dochodził w nocy. Pewnej nocy definitywnie opuściliśmy KOKOBIEL. Szliśmy nocą ścieżkami wydeptanymi przez zwierzęta w trzcinnie. Na grzbietach spoczywał bagaż, byliśmy zmuszeni pokonywać co noc znaczne odległości, aby nas nie złapano.

Dotarliśmy w końcu do Taszkientu, potem Czinkientu, ale rodzice nie zdecydowali się dłużej pozostać. Nasz ubiór nędzarzy, język, jasna karnacja skóry, chudość, wyróżniały nas spośród tłumu. Po zdobyciu "ochłapów" jedzenia w "czajchanie", na bazarze, ruszaliśmy dalej w drogę. Walerka miała z wysiłku b. obrzęknięte nogi, prosiła rodziców, aby ją w jarze zostawić, jakiś czas niosła ją na barana Helena. Nieludzkie zmęczenie odczuwaliśmy wszyscy, nogi nie tylko obolałe z wysiłku, ale także okaleczone z braku obuwia. Prażące w dzień słońce uniemożliwiało wypoczynek. Zdawało się, że wszystkie siły natury sprzysięgły się aby nas zniszczyć! Wola przetrwania była silniejsza. W drodze do Sajramu mama dowiedziała się o istnieniu Domu Dziecka, postanowiła pozostawić tam Walerię, Jadwigę oraz Jankę. Waleria i Jadwiga uczyniły to bez oporu, im było już wszystko jedno, natomiast Janka uciekła do taty, błagała mamę, żeby jej nie oddawała. W Sajramie długo miejsca nie zagrzaaliśmy - z wiadomych przyczyn. Po wielu miesiącach wędrowania się, w końcu dotarliśmy do małego miasta powiatowego Karatas, województwo południowo-kazachstańskie. Zamieszkaliśmy z dala od mieszkańców w opustoszałej małej lepiance, bez dachu, drzwi, obok obok muzułmańskiego cmentarza, przy nasypie kolejowym. Miejsce było zamaskowane, odpowiednie. Z 9-cio osobowej rodziny, pozostało nas 5-ro. Rozpoczęliśmy nowy etap naszego tułaczego życia.

W miasteczku mieszkało kilka rodzin rosyjskich, zesłani Gruzini, Ormianie, Czeczeni, sporo Koreańczyków no i oczywiście Kazachowie, byliśmy wyizolowaną rodziną polską. Mamusia nawiązała kontakt z Paszą, wpływową Rosjanką, pracującą w sklepie ubraniowym. Na jej zamówienie zaczęliśmy nosić znowu topkę ze stepu, jako że był to jedyny dostępny opał, oczywiście poza wysuszonym nawozem zwierzęcym zmieszany z trawą. Zbierało się świży kół krowi, koński itd., wykopywało się dół, nalewano wody, wrzucało suchą trawę, formowało kostki, bochny, suszyło na słońcu, w zimie się spalało. Z topką sprawa nie była taka łatwa jak w Kukubielu, zapotrzebowanie większe, bo dużo ludzi, zakładów - piekarnia, szpital, mleczarnia - dowożących dużymi piętrowymi wozami konnymi, wielbłądzimi. Szło się b. wcześnie rano 6-12 km w step, zbierało się trawę w garście, zносиło się na kupki, następnie zbier-

zbierało się ją na sznury, ścigało mocno, szelki zarzucano na barki i w drogę, późnym wieczorem-nocą wracało się, oczywiście ~~hose~~ Pracowaliśmy przy tym wszyscy, otrzymując w zamian, trochę skór od chleba, plew, ~~nżapa~~ ~~nie~~ wartościową mąkę, zeschnięty ser owczy, b. rzadko trochę mleka. Była to jednak praca ponad siły. O wypoczynku nie było mowy. Sen /krótki/ na barłogu z trawy, czasami w towarzystwie zaskrońców, brak dachu był dokuczliwy i w czasie deszczu i spiekoty. Sąsiedztwo porośniętego chaszczami, krzewami cementarza z niezliczoną ilością gadów, płazów nie napawało radością. Wczesnym rankiem gdy słońce przypiekało, wylegaliśmy przed lepiankę, widok był zachwycający, podniesione w górę głowy urodziwych zaskrońców wyglądały jak niezapalone świece. Tuż obok było składowisko śmieci-na dziko. Fetor wiatr roznosił na wszystkie strony. W miasteczku nie było ani wodociągów, ani kanalizacji, ani elektryfikacji. Niedostatek ubrań odczuwali wszyscy mieszkańcy, wełny, bawełny nie brakowało. Z inicjatywy mamy zaczęliśmy prać, skubać, prząść na wiercionach-provizoriach wełnę, bawełnę robić na drutach różne ubrania-odbiorcą była Pasza, prywatne osoby. Zatrudnienie mieliśmy wszyscy prócz taty. Nareszcie miałyśmy pantofle z grubych bawelnianych nici! Wkrótce tatuś zatrudnił się w piekarni do załadunku topki, do zbierania namówił mnie i Jankę, młody Rosjanin powoził koźmi. W maju 1944 roku stało się nieszczęście, załadowany b. wysoko piętrowy wóz trawą wtoczył się do miasteczka, przed piekarnią Janka sprawnie ssunęła się na obrzeżeb drogi, w momencie kiedy ja ssiadałam, woźnica podciął konie, spadłam z góry wozu na stertę kamieni, zemdlałam, bardzo bolał mnie krzyż. Tatuś z Janką doprowadził mnie do lepianki, leżałam kilkanaście dni, dotkliwy ból stopniowo ustępował. Na pobyt w szpitalu nie mogłam liczyć. Po powrocie do Pelski w 1947 roku w Poznaniu stwierdzono 2-krotne złamanie kręgosłupa w części lędźwiowej, postawiono alternatywne rozwiązanie, ponownie łamać bez gwarancji powodzenia, lub pozostać przy obecnym stanie, rodzice wybrali to drugie. W międzyczasie nieopodal szpitala Czeczeni zwolnili połowę lepianki, przenieśliśmy się do niej. Wprawdzie dach przeciekał, ale to był luksus w stosunku do opuszczonej. Z ulgą odetchnęliśmy, że w końcu pozbyliśmy się miłego towarzystwa zaskrońców. Nocy stały się spokojniejsze, nie trzeba było zrzucać z nóg, klatki piersiowej zimnych "kielbasek", chociaż trzeba przyznać, że z upływem czasu przyzwyczailiśmy się i do tego.

Siostra Helena zbuntowała się, nie chciała pracować przy obróbce wełny, dostała swędzącej wysypki, przypuszczalnie uczulenie, tatuś załatwił jej pracę w mleczarni przy myciu naczyń, tam pozostała do chwili urodzenia dziecka. Zapłata trochę twarogu, mleka. Tam poznała chłopca-Ormianina-skazańca-Sarkisiana z Jerevanu. W 1945 r. przyszła na świat córka. Helena zrezygnowała z pracy, pozostała na utrzymaniu Sarkisiana.

Z Domu Dziecka z Sajramu nadeszła wiadomość, że siostra Waleria przechodzi tyfus. Mama wyruszyła w drogę z Janką, był lipiec 1945 roku. Przyprowadziła na okres rekonwalescencji Walerię wraz z nią Jadwigę, byliśmy znowu w komplecie. Serce się kroiło na widok Wali-ogolona głowa na "kolano", niesamowita chudość, rano słała się na nogach, nie mogła jeść. Rodzice radziby byli jej nieba przychylić, ale żadnych warunków do wyzdrowienia nie mogli zapewnić, brak żywności, warunków higienicznych itd.. Poszły w ruch żabki z pobliskich rozlewisk nałej rzeczulki, koty. Kot Paszy był b. duży, ciężki, mama też zaopiekowała się nim, nam oświadczyła, że to jest dziki królik. Dzieci rosyjskie zdradziły wszystko-przychodziły pod okna i krzyczały: bradziagi nam koszkę sjeli. Sarkisian pracował przy zwózce masła topionego w beczkach-b. rzadko Hela podrzuciła nam ^{odtybinię} jakież to było szczęście, wracała nadzieja na normalne życie. Janka z Jadwigą b. się przywiązały do malucha, u Heli spędzały większość czasu. Waleria przez wakacje opaliła się, odrosły trochę włosy, przybyło trochę ciała. Okazało się, że w Sajramie powstała 7-klasowa Polska Szkoła z polskimi nauczycielami. Rodzice byli zachwyceni wynikami w nauce 2 najmłodszych siostr, po wakacjach postanowili umieścić w DDz Jankę. Przy końcu sierpnia mama odprowadziła je do Sajramu, Janki jednak nie mogła tam pozostawić, po szarpała jej spódnice, krzyczała, błęgała, gdy to nie skutkowało-uciekła w chwili gdy mama była zajęta załatwianiem formalności u kierowniczkii, ukryła się w zaroślach koło drogi, czekając na powrót. Mama tak była zgniewana na nią, że nie pozwoliła iść za sobą. Skradała się zaroślami, pozerowała pozostanie, płakała. W końcu mamie zrobiło się jej żal, wróciła po nią, próbowała przetłumaczyć perswazją, zachętą, że będzie się uczyć, nie będzie się tak męczyć przy produkcji odzieży-bezskutecznie. W Sajramie mama dowiedziała się o dużym prawdopodobieństwie powrotu do kraju. Powróciła nadzieja, a wraz

z nią radość, ojciec się ożywił, mama nawet zaczęła podśpiewywać przy pracy. Wreszcie nadszedł upragniony dzień wymarszu, pod koniec 1945r. pieszo wybraliśmy się do Czimkientu, ażeby nie przegapić okazji. Rodzice odeszukali punkt zborczy, załadowaliśmy się do pociągów towarowych, ale już ^{bez} wokratozak w oknach, liczba nadzorujących też się zmniejszyła, każdy szczęśliwy, promieniejący, chociaż wygląd zaprzeczał temu - obszarpani, brudni, wychudzeni, głodni, zawszawieni. Gdy się ochłonięło z pierwszych wrażeń - pociąg ruszył, po kilku stacjach - na ostanowce - nikt już nie pilnował, każdy starał się odnaleźć bliskich, znajomych, tato miał szczęście spotkać P. Lisowską z dziećmi. W dzień naszego wyjazdu znikła siostra Helena wraz z dzieckiem. Rodzice poszukiwali jej do śmierci - nadaremnie. Podróż trwała b. długo - około pół roku, czasami staliśmy kilka dni na bocznicach, wogóle przetrzymań transportów była niezliczona ilość. Pożywienie stanowiły sławetne makuchy, na które nie mogliśmy patrzeć. Nie obyło się bez strat w ludziach, emocje, wycieńczenie, itd. Nie wiem co robiono ze zmarłymi. Na trasie zabrano rodzicom i innym resztę różnych dokumentów. Granicę rosyjsko-polską przekraczaliśmy nocą, ludzie modlili się, śpiewali pieśni nabożne, hymn polski, bieranina, krzątania, całowanie rodaków, ziemi. Tajemnicą mamy pozostało w jaki sposób zdołała uratować, przechować, zabezpieczyć, jedyny dokument "Akt nadania" ojcu ziemi wraz z krzyżem ^{Valuti Nihilavi} za zasługi wniesione w obronność kraju. Mama przekazała mnie to przed śmiercią prosząc, żeby pozostało to w ukryciu, jako relikwiny rodzinne.

Maria Bojar

Maria Bojar